

Mówią, że ten, kto mści się na drugiej osobie, traci część swojej niewinności.

Ale ja nie jestem niewinna.

Już od dawna.

Zostałam okradziona z niewinności. Odebrano mi los, który był mi pisany. Duszę, z którą przyszłam na świat. Rubinowe serce osadzone w życiu pełnym nadziei i marzeń.

To wszystko odeszło.

Przepadło.

Nigdy nawet nie miałam wyboru.

Opłakuję tamto życie. Rozpaczam nad każdym „co by było, gdyby...”.

Ale z tym już koniec.

Jestem gotowa odebrać to, co zawsze mi się należało.

Jednak każdy plan ma jakiś słaby punkt. Czasem jest nim serce.

Seria  
Czarny Lotos  
Tytuł oryginału  
*Bang*  
Copyright © 2014 by E.K. Blair  
All rights reserved  
Wydawnictwo NieZwykłe  
Oświęcim 2018  
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Tłumaczenie:  
Marta Słońska  
Redakcja:  
Barbara Marszałek  
Korekta:  
Dariusz Marszałek  
Redakcja techniczna:  
Mateusz Bartel  
Przygotowanie okładki:  
Paulina Klimek

[www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)

Dystrybucja: ATENEUM [www.ateneum.net.pl](http://www.ateneum.net.pl)

Numer ISBN: 978-83-7889-665-4

**E.K. BLAIR**

# **BANG**

**OŚWIĘCIM 2018**

Dla Cathy

*Ponieważ życie to nie bajka, ale każdy z nas potrzebuje tej  
szczególnej osoby, dzięki której marzenia trwają.  
Ty jesteś taką osobą dla mnie.*

„Niestety, nie mogę się wytłumaczyć.  
Bo widzisz, nie jestem sobą”.

– Lewis Carroll



## *Przedmowa*

Mówią, że ten, kto mści się na drugiej osobie, traci część swojej niewinności. Ale ja nie jestem niewinna. Już od dawna. Zostałam okradziona z niewinności. Odebrano mi los, który był mi pisany. Duszę, z którą przyszłam na świat. Rubinowe serce gotowe na życie pełne nadziei i marzeń. To wszystko odeszło. Przepadło. Nigdy nawet nie miałam wyboru. Oplakuję tamto życie. Rozpaczam nad każdym: „co by było, gdyby...”. Ale z tym już koniec. Jestem gotowa odebrać to, co zawsze mi się należało, a co zostało mi tak brutalnie wydarte. Dlatego szukam zemsty. Zatem, co teraz? Teraz wymyślam intrygę i przejmuję kontrolę. Oto nakładam koronę nienawiści.



## *Rozdział pierwszy*

(Teraźniejszość)

– Skarbie, kończysz się już szykować? – dobiega mnie z drugiego pokoju głos męża.

Zakładając perłowe kolczyki, spoglądam w lustro i szepczę sama do siebie:

– Tak.

Prostuję się, wygładzam jedwabistą sukienkę i przeczesuję palcami długie, rude włosy. Rozpuszczone, niczym karminowa narzuta opadają mi falami na odsłonięte ramiona. Chłodny, granatowy jedwab przylega do delikatnych krągłości mojej drobnej sylwetki. Oto dobra, spokojna żona, bez reszty zapatrzona w swojego męża – a przynajmniej tak się wydaje.

– Olśniewająca.

Przebiegam wzrokiem po powierzchni lustra, odnajdując w odbiciu Bennetta, który właśnie wolnym krokiem wchodzi do garderoby i zmierza w stronę toaletki, przy której stoję. Przerzuca moje włosy na bok, odsłaniając szyję, aby złożyć na niej pocałunek.

– Mmm – mruczę w odpowiedzi na jego dotyk, po czym odwracam się, aby poprawić mu muszkę.

Kiedy patrzę na jego szyję, on nie spuszcza ze mnie oczu, a gdy podnoszę wzrok w górę, posyła mi łagodny uśmiech, który odwzajemniam. To niesamowicie atrakcyj-

ny mężczyzna; ma wyraziste rysy, kwadratową szczękę i kasztanowe włosy, gdzieniegdzie delikatnie przyprószone siwizną – świadectwo przeżytych trzydziestu czterech lat oraz jego wpływowej pozycji. Potentat. Właściciel największej na świecie firmy produkującej stal. On jest potęgą, a ja z tego korzystam.

– Baldwin już na nas czeka w samochodzie – mówi, całując mnie w czoło.

Biorę torebkę, a Bennett pomaga mi założyć płaszcz. Zjeżdżamy windą na dół. Kiedy przechodzimy przez lobby wieżowca The Legacy, który od trzech lat nazywam domem. Bennett trzyma dłoń na moich plecach, wyprowadzając w kęsający mróz zimowej nocy.

– Panie Vanderwal. – Baldwin, nasz szofer i wieloletni przyjaciel męża, wita go skinieniem, po czym przenosi uwagę na mnie. – Proszę pani.

– Dobry wieczór – mówię, chwytając jego dłoń, a on pomaga mi wejść na tylne siedzenie Land Rovera.

Bennett wślizguje się za mną, bierze moją rękę i kładzie ją sobie na kolanie, podczas gdy Baldwin zamyka drzwi i wskazuje na przednie siedzenie. Metamorphosis Glassa, ulubiony utwór Bennetta, pochłania panującą w samochodzie ciszę. Unoszę wolną dłoń i przykładam ją do zimnej szyby okna, czując, jak wilgoć i chłód przenikają przez moją skórę.

– Uwielbiam śnieg – mruczę, bardziej do siebie niż do męża, ale on i tak odpowiada.

– Powtarzasz to każdej zimy.

Odwracam się i spoglądam na niego, a potem na nasze splecione dłonie. Bennett poprawia się na miejscu i mówi:

– Wiesz, Richard opowiadał, że zatrzymał się ostatnio w tym hotelu, i wspominał, że nadawałby się na tegoroczne przyjęcie sylwestrowe.

– Jak się nazywa?

– Lotos.

– Ciekawe – zauważam, po czym pytam: – To nowy hotel McKinnona, zgadza się?

– Właściwie to jego syna. Jeszcze nie miałem okazji go poznać.

– Hmm.

– Co to za spojrzenie? – pyta, ściskając lekko moją dłoń.

– McKinnon potrafi być, no wiesz...

– Dupkiem?

Uśmiecham się i przytakuję.

– Tak. Po prostu nie miałam pojęcia, że ma dzieci.

Po przedarciu się przez ruch uliczny panujący w sobotni wieczór w centrum Chicago, w końcu podjeżdżamy pod ekskluzywny hotel wybudowany niedawno z myślą o miejskich elitach. Tak często zdarza nam się uczestniczyć w podobnych imprezach, że staje się to nużące. Pozycja Bennetta, nie tylko w mieście, ale na całym świecie, sprawia, że jego obecność jest bardzo pożądana – zarówno dla rozgłosu, jak i z innych powodów. Jednak przez ostatnie lata Bennett wielokrotnie prowadził interesy z Calumem McKinnonem, toteż dzisiejszego wydarzenia nie mogliśmy opuścić.

Baldwin otwiera drzwi i pomaga mi wyjść. Wychodzę z samochodu, poprawiam długą sukienkę, po czym zostaje wprowadzona przez szklane drzwi do lobby Lotosu. Kiedy Bennett oddala się na chwilę, żeby oddać płaszcz do szatni, obiegam wzrokiem zgromadzone wokół elegancie towarzystwo i od środka przygryzam sobie policzek. Wiem, że jestem tu z najbogatszym mężczyzną spośród zaproszonych gości, ale trudno mi zapanować nad nerwami i zastanawiam się, czy oni wszyscy mnie nie przejrzeni.



Dostaję powitalny kieliszek szampana i napotykam wzrokiem spojrzenie kilku kobiet działających w instytucjach charytatywnych, w zarządzie których zasiadam.

– Gotowa, skarbie?

Obejmując mnie ramieniem, mąż kładzie mi dłoń na biodrze i prowadzi w stronę pierwszej z wielu osób, z którymi będziemy musieli zamienić parę słów. Uśmiecham się, unoszę podbródek i wchodzę w swoją rolę. Rolę, którą gram, odkąd poznałam Bennetta.

Jest i zawsze był kochającym mężem. W interesach stanowczy, ze mną obchodzi się jednak niezwykle delikatnie, jakbym była ze szkła. Kiedyś może faktycznie byłam krucho, ale to stare dzieje. Teraz jestem silna jak diabli. Słabość pochodzi z duszy, a większość ludzi takową posiada, co daje kobiecie takiej jak ja przewagę. Mogę manipulować ludźmi wedle własnego uznania, więc właśnie to robię.

– Nina! – słyszę swoje imię wywołane przez jedną z moich *przyjaciółek*.

– Jacqueline, wyglądasz cudownie – mówię, kiedy pochyla się, żeby ucałować mnie w policzek.

– Z tobą nie mogę się nawet równać. Przepiękna jak zawsze – odpowiada, po czym przenosi uwagę na Bennetta i wita go z rumieńcem na twarzy. Jestem pewna, że ma też mokro w majtkach. To rozpaczliwa flirtciara. Jej mąż to żalosne indywiduum, ale jest partnerem biznesowym Bennetta, więc znoszę jego durny szowinizm i współczuję idiotce, z którą się ożenił. Jacqueline próbuje się dobrać do mojego męża, odkąd ją poznałam. Nigdy tego nie skomentowałam, bo Bennetta nie pociąga desperacja.

Podczas gdy Jacqueline flirtuje z moim mężem, ja rozglądam się po pomieszczeniu. Wszyscy mają na sobie eleganckie stroje, popijają drinki i rozmawiają o niczym.

Odwracam się od tych bezmyślnych ludzi i podziwiam wspaniały, nowoczesny wystrój hotelu. Jest urządzony minimalistycznie, ale bez wątpienia włożono w niego mnóstwo pieniędzy. Błądząc wzrokiem po sali, napotykam parę oczu wpatrzonych we mnie. To spojrzenie wzbudza moją ciekawość. Mężczyzna stoi w otoczeniu kilku osób, ale na żadną z nich nie zwraca uwagi. Jest niesamowicie atrakcyjny i... obserwuje mnie. Nawet kiedy spoglądam na niego z drugiego końca sali, nie odwraca wzroku; unosi tylko kąciki ust w uśmiechu, po czym pociąga łyk koktajlu. Szczupła blondynka gładzi go po ramieniu i nasz kontakt wzrokowy urywa się. Mężczyzna, nienagannie ubrany w szyty na miarę garnitur, roztacza wokół siebie nieznaczną aurę obojętności. Ma niedbale ułożone włosy, jak gdyby tylko przeczesał dłońmi gęste loki i stwierdził; „pieprzyć to”, a jego mocno zarysowaną szczękę pokrywa jednodniowy zarost. Ale ten garnitur... tak, zdecydowanie kryje się pod nim zadbane ciało. Dopasowany krój przylega do sylwetki, podkreślając szerokie ramiona, zwężające się w dół ku szczupłym biodrom.

– Skarbie?

Oderwana od tej mimowolnej obserwacji, odwracam się i napotykam zaciekawione spojrzenie męża. Zauważam, że Jacqueline nie ma już u jego boku.

– Na co się tak zapatrzyłaś? – pyta Bennett.

– Och. W zasadzie to na wszystko. Niesamowite miejsce, co?

– Pytałem o przyjęcie, ale chyba byłaś myślami gdzie indziej. No więc, co o tym sądzisz?

– Tak, zgadzam się. To byłaby świetna lokalizacja, no i miła odmiana. – Właśnie kiedy to mówię, zauważam zbliżającego się do nas pana „pieprzyć to”. Idzie lekkim krokiem, i pozostałe kobiety na sali też to dostrzegają.

– Pan Bennett, jak mniemam – mówi z jedwabistym szkockim akcentem, takim samym, jak u jego ojca, wyciągając rękę w stronę mojego męża. – Jestem Declan McKinnon. Ojciec bardzo dobrze się o panu wyraża.

– Miło cię wreszcie poznać, Declan. Nie widziałem tu dziś Cala. – Bennett ściska dłoń pana „pieprzyć to”, który teraz ma imię.

– Nie ma go tu. Musiał polecieć do Miami zająć się jakimiś sprawami.

– Ten stary drań ani chwili nie usiedzi w miejscu, co? – Bennett śmieje się, a Declan mu wtóruje, potrząsając głową.

– Sześćdziesiąt lat na karku i wciąż rozkazuje każdemu, kto zechce go słuchać. A w sumie nawet tym, którzy nie zechcą.

Kiedy Declan przenosi wzrok na mnie, mąż przeprosza i mówi:

– Declan, poznaj moją żonę, Ninę.

Podaję mu rękę, a on ujmując ją nachyla się i całuje mnie w policzek, po czym odsuwa się, prawiąc komplement.

– Miło mi panią poznać. Już wcześniej zwróciłem na panią uwagę. – Spoglądając na Bennetta, dodaje: – Szczęściarz z pana.

– Codziennie jej to mówię.

Uśmiecham się, jak na dobrą żonę przystało. Robię tak od lat, nieczuła na niedorzeczne komplementy, którymi mężczyźni szastają w marnych próbach wyjścia na dżentelmenów. Widzę jednak, że Declan wcale się nie stara. Ma rozluźnione ramiona. Jest odprężony.

– To miejsce naprawdę robi wrażenie. Moje gratulacje. – Bennett ma zachwycony ton głosu.

– Dziękuję. Kosztowało mnie to tylko kilka lat życia, ale – odpowiada, rozglądając się wokoło – wszystko jest dokładnie tak, jak sobie wyobrażałem. – Z powrotem kieruje spojrzenie na mnie.

Jawnie ze mną flirtuje i jestem zaskoczona, że mąż, nie zwracając na to uwagi, kontynuuje rozmowę.

– Mówiłem właśnie Ninie, że ten hotel doskonale nadałby się na przyjęcie, które organizujemy dla przyjaciół na koniec roku.

Wtrącam się z uśmiechem na twarzy.

– To doroczna impreza, z okazji której mój mąż popuszcza wodze i pozwala mi zorganizować wydarzenie podkreślające jego finansową potęgę, ot, żeby przypomnieć wszystkim, kto tu rządzi. Takie przedłużenie penisa, można powiedzieć, i zbliża się jego coroczne celebrowanie. – Drocę się z kobiecą czułością, która sprawia, że obaj śmieją się, rozbawieni moją cierpką uwagą. Wtóruję im, mrugając zalotnie do męża.

– Jaka słodka – stwierdza Declan.

– Nawet nie wiesz jak bardzo – odpowiada Bennett, spoglądając na mnie z szerokim uśmiechem. – Ale chociaż tak mówi, uwielbia to coroczne planowanie, a ja z przyjemnością patrzę, jak wydaje wszystkie moje ciężko zarobione pieniądze. Tylko że teraz jesteśmy w kropce, bo lokal, który wybraliśmy kilka miesięcy temu jest akurat w remoncie i nie będzie gotowy na czas.

– Na kiedy właściwie planujecie tę imprezę?

– To bal sylwestrowy.

– Chyba dałoby się zrobić – stwierdza Declan. Wyjmuje z marynarki wizytówkę i zamiast Bennettowi, wręcza ją mnie, mówiąc: – Wygląda na to, że będę pani podległym, więc tutaj są moje numery kontaktowe.

Wyciągając wizytówkę spomiędzy jego palców, patrzę, jak odwraca się w kierunku mojego męża.

– Będę doglądał planów i zadbam, żeby Nina dostała wszystko, czego sobie zażyczy.

– Wygląda na to, że w tym roku będę musiał wypisać spory czek – żartuje mój mąż. – No dobrze, Declan, wspólnie było wreszcie spotkać się twarzą w twarz, ale teraz wybaczone, chciałbym pochwalić się swoją żoną, tańcząc z nią.

Kiedy Bennett prowadzi mnie na parkiet i bierze w ramiona, korzystam z okazji, aby zerknąć ponad jego ramię na Declana, który wpatruje się we mnie z uwagą, ani trochę nie kryjąc zainteresowania. Wstrząsa mną spazm uniesienia, podczas gdy mąż powoli i bez wysiłku prowadzi mnie w tańcu.

Resztę wieczoru spędzamy na rozmowach i spotkaniach z przyjaciółmi i współnikami, aż w końcu opuszczamy przyjęcie i wracamy do The Legacy. Wychodzimy z windy do penthausu, który był własnością Bennetta jeszcze zanim poznałam go cztery lata temu, i przechodzimy przez pograżony w ciemności salon. Jedynym źródłem światła jest księżycowa poświata przebijająca się przez zimowe chmury skłębione za oknami, które ciągną się od podłogi aż do sufitu. Wchodzę za Bennettem do wielkiej sypialni. Wysuwając stopy ze szpilek, unoszę wzrok i widzę, że mąż rozwiązał już muszkę, zwisając teraz luźno wokół kołnierza białej koszuli, której guziki właśnie rozpina.

Jego oczy z zachwytem podziwiają moje ciało. Stoję tam, podczas gdy on zbliża się powoli, a potem kładzie dłonie na moich biodrach i zjeżdża nimi w dół ciała, aż znajduje się przede mną na kolanach. Wsuwając dłonie przez rozcięcie w sukience przebiega nimi w górę po nogach, a gdy tylko jego palce dotykają majtek, wyłączam wszystko.

Stalowa klatka otacza moje serce i zanim zdążą ogarnąć mnie mdłości, zamykam się w sobie.

Odrętwiała.

Nieobecna.

Bennett gwałtownym ruchem ściąga moje majtki w dół, a ja wyjmuję z nich nogi, po czym czuję ciepło jego języka prześlizgującego się wzdłuż mojej pochwy, ale odpycham od siebie wszelką chęć do zbliżenia. Sypiam z mężem od kilku lat, lecz konsekwentnie odmawiam sobie przyjemności, którą widzę w jego oczach.

*Dlaczego?*

*Powiem wam, dlaczego.*

*Ponieważ go nienawidzę.*

On w tej chwili sądzi, że się kochamy. Leżę pod nim, a jego członek powoli wciska się we mnie. Splatam ramiona wokół jego szyi i rozchyłam szeroko nogi, zachęcając go do wejścia głębiej, podczas gdy on liże i ssie moje cycki. Wierzy we wszystko, w co chcę, aby wierzył. Zawsze. Ale dla mnie to tylko gra, a on naiwnie wpadł w moje sidła. Nigdy nie poddaje w wątpliwość mojej miłości do niego. Teraz wije się pod nim i jęczę, udając rozkosz, a on wbija się we mnie głębiej, po czym szczytuje. Mówi, jak bardzo mnie kocha, a ja odpowiadam tymi samymi słowami.

– O Boże, Bennett, tak strasznie cię kocham – dyszę.

Bennett z głową przytuloną do mojej szyi próbuje uspokoić oddech, a kiedy się podnosi, przeczesuje palcami jego włosy.

Spogląda mi w oczy.

– Wyglądasz oszałamiająco, kiedy taka jesteś.

– Jaka? – pytam łagodnie.

– Zaspokojona.

*Idiota.*



## *Rozdział drugi*

(Teraźniejszość)

Odwracam się w łóżku i widzę, że obok mnie nikogo nie ma. Nic nowego. W powietrzu wciąż unosi się zapach wody po goleniu Bennetta. Idę się odświeżyć, a gdy wchodzę do salonu, zastaję męża siedzącego przy barze w kuchni. Przegląda jakieś dokumenty, popijając kawę. Zawijam w talii pasek jedwabnego szlafroka, podchodzę do niego od tyłu i oplatając rękami jego ramiona daję mu całusa.

– Dzień dobry – mówi, uśmiechając się na mój widok.

– Wczesnie wstałeś – odpowiadam, zauważając, że ma na sobie trzyczęściowy garnitur.

Odkłada papiery, odwraca się i wciąga mnie sobie między nogi.

– Wyjeżdżam do Dubaju, nie pamiętasz?

– Oczywiście, że pamiętam. Ale to dopiero za kilka godzin. – Opuszczam głowę, dodając z udawanym smutkiem. – Wolałabym, żebyś nie jechał.

Całuje mnie w usta, po czym odsuwa się i gładzi palcami moje długie włosy, zaczesując je do tyłu.

– To tylko kilka dni. Zresztą będziesz miała zajęcie.

– Zajęcie?

– Musisz zacząć przygotowania do imprezy. Zostało już niewiele ponad miesiąc, niedługo trzeba rozesłać zaproszenia. Richard ze mną nie jedzie, więc będziesz go

miała pod ręką przez ten tydzień, gdybyś czegoś potrzebowała.

Richard to mąż Jacqueline i wspólnik Bennetta. Zawsze działał mi na nerwy, ale ze względu na Bennetta udaję, że go lubię.

On nosi fular, na litość boską.

– W porządku. W takim razie dzisiaj popracuję trochę z domu, a potem zadzwonię do hotelu, żeby umówić spotkanie.

Idę zaparzyć filiżankę herbaty, a Bennett wraca do pracy, dopóki nie przyjdzie pora, żeby jechać na lotnisko. Po jakimś czasie Baldwin znosi jego bagaż do samochodu, dając nam chwilę, żeby się pożegnać.

– Będę tęsknić – mruczę, na co mąż odpowiada:

– Skarbie, zawsze tak mówisz.

Ocierając się o niego, przykrywam jego usta moimi.

– Bo zawsze tęsknię.

Uśmiecha się.

Ja też.

– Zadzwoni do mnie jak tylko wylądujesz, żebym wiedziała, że wszystko w porządku.

– Kocham cię.

Odprowadzam go do windy i całuję na pożegnanie, po czym przechodzę do gabinetu i siadam do laptopa. Siadam wygodnie w fotelu i wpisuję w wyszukiwarce: *Declan McKinnon*. Ekran zalewa się linkami. Klikam na jeden z nich i czytam:

*Declan Alexander McKinnon*

*Urodzony w Edynburgu w Szkocji*

*Wiek: 31 lat*

*Syn Caluma McKinnona i śp. Lillian McKinnon*



*Ukończył studia magisterskie na Uniwersytecie w St. Andrews w Szkocji*

Przez jakiś czas czytam o jego najróżniejszych osiągnięciach akademickich i zawodowych. Miałam parę razy okazję spotkać jego ojca i wiem, że nazwisko McKinnon cieszy się wielkim szacunkiem, toteż wyobrażam sobie, jaką musiano na niego wywierać presję, aby tego szacunku nie nadszarpnął.

Kliknięciem przechodzę do wyszukiwania obrazków i ekran wypełnia się setkami zdjęć Declana w towarzystwie rozmaitych kobiet. Mężczyzna wyraźnie cieszy się stanem kawalerskim, ale wygląda na to, że w Chicago jest od niedawna.

Nie myśląc o nim zbyt wiele, otwieram książkę adresową Bennetta i biorę się do pracy. Ze względu na otaczający mojego męża rozgłos, nasza coroczna ekstrawagancka impreza jest dla gości okazją do zaspokojenia swojego ego. Już choćby z tego powodu bezpieczeństwo i prywatność są sprawą najwyższej wagi.

Pomimo niechęci, jaką czuję do męża, muszę docenić, że do wszystkiego doszedł sam. Zbudował wartą miliardy dolarów firmę od zera i sprawił, że nazwisko Vanderwal wzbudza powszechny podziw. Nazwisko, które przybrałam po tym, jak moje dawne zostało zbrukane.

Kiedy mam już wstępną listę gości, przesyłam ją e-mailem Bennettowi do przejrzenia. Wychodząc z gabinetu zauważam Clare, zajętą w kuchni wypakowywaniem zakupów.

– Nie słyszałam, jak wchodzisz – mówię do niej.

– Witam, pani Vanderwal – odpowiada słodkim głosem.

– Pani mąż nalegał, żebym dzisiaj przyszła, skoro on wyjechał w interesach. Jest tu jeszcze?

– Nie, minęliście się. – Dołączam do niej i podchodzę, żeby pomóc z odkładaniem jedzenia na miejsce.

– Proszę to zostawić – karci mnie żartobliwie, a ja uśmiecham się do niej, dając się wygonić z kuchni.

Nigdy nie miałam mamy, a Clara, choć tylko dla nas pracuje, wypełnia dom ciepłem, na jakie stać tylko kobietę obdarzoną silnym instynktem macierzyńskim.

– Zaparzyć pani filiżankę herbaty?

– Nie, dziękuję. Już piłam.

Kiedy siadam przy barze, Clara pyta:

– Głodna?

Potrząsam głową.

– Chyba zostanę dziś tutaj. Bennett chce, żebym zaczęła pracować nad balem, więc planuję polenić się w domu, surfując po Internecie i szukając pomysłów.

– To już ten czas?

– Mmm.

– Jak szybko lecą te lata. Kiedy będzie pani w moim wieku, proszę nawet nie mrugać. Nigdy. – Uśmiecha się łagodnie, wyciągając z szafki patelnię i biorąc się do gotowania.

Podchodzę do okien i patrzę, jak śnieg opada na miasto. Tutaj, na wysokości siedemdziesiątego pierwszego piętra, czuję się jak królowa. Przez chwilę napawam się widokiem, po czym wracam do pracy, a tymczasem Clara krząta się w kuchni, szykując posiłki na kilka następnych dni. Czas szybko ucieka i zanim się obejrzę niebo już ciemnieje, a Clara żegna się i wychodzi.

\*\*\*

Następnego ranka po wstaniu z łóżka szykuję się bez pośpiechu. Podchodzę do okien i, popijając herbatę, obser-

wuję ulice centrum, na których w ten poniedziałkowy poranek panuje spory ruch. Kiedy tak stoję, dzwoni telefon. Widzę, że to Bennett, i odbieram.

– Hej, skarbie – mówię, podchodząc do kanapy, żeby usiąść.

– Cześć. Próbowalem się dodzwonić wczoraj po lądowaniu.

– Przepraszam. Wcześniej się położyłam.

– Aż taki męczący dzień, hm? – żartuje, śmiejąc się lekko.

– Taaak, coś w tym rodzaju. To chyba przez ten stałe sypiący śnieg. Strasznie mnie rozleniwia. A jak tam twoje sprawy?

– Dobrze. Właśnie spotkałem się z nowym klientem i zjadłem późny lunch. Teraz wracam do hotelu wziąć prysznic, a wieczorem będę musiał zafundować tym sukinsynom wystawny obiad, ale chciałem jeszcze cię złapać, skoro nie udało mi się usłyszeć twojego głosu zeszłej nocy.

– Brakowało ci mojego głosu, tak?

– Nie tylko głosu – kokietuje.

Wzdycham głęboko.

– Mnie brakuje cię w łóżku. Zawsze czuję się samotna, kiedy cię nie ma. Jest za pusto i za cicho.

– Czy Clara nie wpadła wczoraj?

– Wpadła, wpadła. Nie musisz się tak ze mną ceregielić, wiesz. Jestem dużą dziewczynką.

– Ale ja lubię... jak to określiłaś? *Ceregielić się?* – Kiedy to mówi, słyszę w jego głosie rozbawienie i odpowiadam w podobnym tonie.

– Tak. Ceregielić. Jak na takiego światowca, przydałoby ci się poszerzyć słownictwo.

– Ach, tak? Może jak już wrócę powinienem ci pokazać, jak rozległe jest moje słownictwo.

Śmieję się. Świntuszenie zdecydowanie nie jest mocną stroną Bennetta, ale odpowiadam zalotnie:

– Hmm... może powinieneś wrócić wcześniej.

– Chciałbym. Chociaż muszę przyznać, że na temperaturę nie narzekam. Słonecznie tu i ciepłutko.

– Jeśli myślisz, że będę ci zazdrościć, to nic z tego. Wiesz, że uwielbiam, kiedy jest zimno i szaro. Mam wtedy powód, żeby co noc grzać się w twoich objęciach.

– A jak się grzałaś w nocy?

– Objadłam się zapiekany ziti Clary, a potem zagrzebałam się w stertę koców.

– Nic się nie martw, skarbie, niedługo wrócę i cię ogrzeję – zapewnia mnie łagodnym głosem, po czym pyta: – To jakie masz plany na dzisiaj?

– Zamierzałam przedzwonić do hotelu i zobaczyć, czy uda mi się umówić na spotkanie, żeby jeszcze raz rozejrzeć się na miejscu.

– Dopiero co tam byliśmy.

– Tak, ale teraz chcę zobaczyć, jak tam wygląda, kiedy po sali nie kręci się cała śmietanka towarzyska Chicago.

Śmieje się.

– Kochanie, nie zapominaj, że sama jesteś na samym szczycie tej śmietanki.

– A to wszystko tylko dzięki tobie, mój drogi – droczę się. – A tak na poważnie, chcę zobaczyć, jak sala wygląda pusta, i pomówić z dyrekcją, żeby dowiedzieć się, czy mają jakieś nowe namiary na dostawców. Chciałabym wyjść poza to, czego trzymaliśmy się przez ostatnie lata.

– Jeśli tylko ty przyłożysz do tego rękę, na pewno uda się znakomicie. Wszystko, czego dotkniesz, zmienia się w ideał. Wystarczy spojrzeć na mnie.

– Ideał, co? Cóż, ciężko mi się sprzeczać. Niczego bym w tobie nie zmieniła.

– Ani ja w tobie – prawi mi komplement, po czym informuje: – Samochód właśnie podjechał pod hotel. Muszę kończyć.

– Dobrze. Nie pracuj zbyt ciężko. Tęsknię.

– Ja też, kochana. Miłego dnia.

Po skończonej rozmowie oddycham głęboko. Z początku trudno mi było tak do niego mówić, ale teraz przychodzi mi to równie naturalnie, jak chęć starcia z buta psiego gówna.

Idę do garderoby po portmonetkę, którą miałam ze sobą na przyjęciu. Otwieram ją i wyciągam wizytówkę, którą dał mi Declan, po czym wracam do salonu, żeby zatelefonować.

– Lotos – mruczy w słuchawce kobiecy głos.

– Czy zastałam Declana McKinnona?

– A kto dzwoni?

– Nina Vanderwal.

Zostawia mnie na chwilę na linii, a kiedy wraca, mówi:

– Pan McKinnon jest jeszcze na spotkaniu. Czy mam przekazać wiadomość?

– Nie chciałabym wtrącać się w jego plany, ale będę urządzić dużą imprezę. Chciałabym przyjechać obejrzeć główną salę balową i omówić kwestię dostawców.

– Oczywiście. Przełączę panią do kierownika – oznajmia, po czym przekierowuje połączenie.

Po krótkiej rozmowie umawiam się z kierownikiem hotelu na spotkanie za godzinę. Rozłączam się i dzwonię po Baldwina, prosząc, żeby przygotował samochód i odwiózł mnie na miejsce. Kiedy się zjawia, jestem już gotowa do wyjścia. Baldwin pomaga mi założyć płaszcz na jedwabną

bluzkę w kolorze kości słoniowej, wsuniętą w dopasowane spodnie z czarnej wełny.

– Jest pani gotowa? – pyta. Potwierdzam, chwytając torebkę.

Zjeżdżamy na dół windą. Przechodząc przez lobby widzę, że samochód czeka już przed wejściem.

– Proszę iść ostrożnie – radzi Baldwin, kiedy w butach na obcasie manewruję wokół oblodzonych fragmentów chodnika.

Po dotarciu do Lotosu zostaję powitana przez oczekującego mnie kierownika. Podążam za nim do sali balowej, rozglądając się po otoczeniu. Jest tu dość dużo miejsc siedzących, aby zaspokoić nasze potrzeby, a obok znajduje się bar oferujący rozmaite cygara i alkohole, wystawione na pokaz w wyłożonym ciemnym mahoniem wnętrzu. Lada barowa jest szeroka, a jej drewno imponująco wykończone. Szkoda, że na wielkim otwarciu wszystko to znikło z widoku, przesłonięte morzem ludzi. Pomimo ogromu pomieszczenia, panuje tu kameralna atmosfera. Na parkiety taneczny prowadzą w dół krótkie schody, oddzielając go od części jadalnej i nadając miejscu nieco spokojniejszy charakter.

Kiedy tak krążę po sali i zapisuję spostrzeżenia w notatniku, niespodziewanie dobiega mnie znajomy głos.

– Jak wygląda? – Szkocki akcent rozbrzmiewa po całej sali. Odwracam się i podchwytuję jego spojrzenie.

– Słucham?

Rozgląda się dookoła.

– To wnętrze – precyzuje. – Inaczej wygląda, kiedy jest puste, prawda?

Odwracam głowę, żeby obejrzeć wystrój.

– Owszem. Myślałam właśnie, jak wielu detali nie zauważyłam tamtej nocy, kiedy było tu pełno ludzi.

Podchodzi do mnie. Wygląda nienagannie w prostych spodniach i koszuli, bez marynarki i krawata. Z lekkim uśmiechem na twarzy wyciąga ku mnie rękę i w końcu wita się.

– Miło znów cię widzieć, Nino.

Moje imię wypowiedziane z jego akcentem brzmi bez dwóch zdań piekielnie seksownie.

Kiedy muska wargami moje palce, jego lekki zarost ociera się o moją miękką skórę. Nie odpowiadam, ale kiedy odrobinę za długo nie puszcza mojej dłoni, wyrwam ją z uścisku. Uśmiech Declana pozostaje niezmienny, jakby bawiła go moja reakcja.

Swobodnie odwraca się do mężczyzny, który mnie oprowadzał, i odsyła go. Zwracając się z powrotem do mnie, wpycha ręce do kieszeni spodni i pyta:

– No i co myślisz?

– Myślę, że mój mąż miał rację. To idealne miejsce na przyjęcie.

– Świetnie. Potrzebujesz się jeszcze rozejrzeć?

– Chyba na razie mi wystarczy.

Wydaje się czymś rozbawiony – może mną. Wyciąga rękę z kieszeni i jedną kładzie mi na plecach, wyprowadzając mnie z sali.

– Chodźmy do mnie omówić szczegóły.

Docieramy do jego biura, gdzie staję na środku przesadnie dużego pomieszczenia, podczas gdy on pewnym siebie, rozluźnionym krokiem podchodzi do biurka i bierze z niego laptopa. Skinieniem głowy wskazuje mi skórzaną kanapę.

– Usiądź, proszę.

Usadawiam się i otwieram terminarz. Przerzucam kartki w poszukiwaniu kalendarza, czując na sobie jego spojrzenie.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? – pytam, podnosząc wzrok z udaną irytacją.

– Gdzie w ogóle jeszcze sprzedają papierowe terminarze? – droczy się.

– W wielu miejscach.

– Od lat żadnego nie widziałem. Wiesz, że teraz robią coś takiego jak tablety?

Uśmiecham się w odpowiedzi na jego kpiące uwagi.

– Tak. Od czasu go czasu udaje mi się wypełznąć z mojej jamy i zorientować w rozwoju nowoczesnej technologii, ale dziękuję za troskę.

Ze śmiechem potrząsa głową. Patrzą, jak jego uśmiech praktycznie dociera do zielonych oczu, a w kącikach pojawiają się zmarszczki.

– A masz taki chociaż? – pyta, wciąż uśmiechnięty.

– Nie.

Nie odpowiada, ale jego niewzruszone spojrzenie wydobywa ze mnie odpowiedź na niewypowiedziane „dlaczego?”.

– Cenię sobie prywatność, a technologia ją zakłóca. Papier mogę spalić i wyrzucić popiół, jakby nigdy nie istniał. Nie do wyśledzenia. – Odwzajemniając jego chytry uśmiešek, dodaje: – A ty? Nie sądzisz, że to głupota tak się wystawiać na widok? Tak się obnażać?

– Czy to zagadka?

Śmieję się. Ignorując pytanie, przerzucam kartki kalendarza i potwierdzam:

– Jesteście otwarci 31 grudnia, zgadza się?

Z westchnieniem obraca się i spogląda na ekran laptopa.



– Tak.

– Świetnie. Bennett woli, żeby było nie za dużo osób, tak około dwustu. Ważne jest dla niego bezpieczeństwo...

– Dla ciebie też? – przerywa. Przyjmuje łagodniejszy wyraz twarzy i uśmiecham się.

– Tak, dla mnie też. Goście będą musieli się zameldować przy wejściu. Czy personel hotelowy się tym zajmie?

– Czego tylko sobie życzysz.

Następną godzinę spędzamy, omawiając pomysły na organizację przyjęcia i planując na kilka następnych tygodni spotkania z paroma dostawcami, zanim w końcu dzwonię po Baldwina, aby mnie odebrał. Doskonałe maniery Declana ustępują miejsca lubieżności, kiedy całuje mnie na pożegnanie; chwyta moje ramiona i przeciąga wargami po policzku, a następnie przyciska mi je do ucha, szepcząc:

– Do następnego razu.



## *Rozdział trzeci*

(Teraźniejszość)

Declan zadzwonił dwa dni temu, żeby potwierdzić moje spotkanie z kwiaciarem. Polecił mi firmę z Andersonville, która dostarcza mu kwiaty do hotelowego lobby, więc się zgodziłam. Tego ranka omówiłam z Bennettem pomysł, żeby urządzić przyjęcie w konwencji balu maskowego, i ku mojemu zadowoleniu dał mi zielone światło. Po naszej rozmowie dało się poznać, że za mną tęskni – nie kwapił się, aby odłożyć słuchawkę – ale ma wrócić z Dubaju jutro wieczorem. Pomimo uczucia osamotnienia cieszył się, że udało mu się przejąć zakłady produkcyjne, które zamierzał odkupić od bliskiej bankructwa lokalnej firmy.

Padający śnieg sprawia, że jazda samochodem do Andersonville trwa dłużej niż zwykle. Zima jak zawsze brutalnie obchodzi się z Chicago, ale jest to brutalność, która mi się podoba. Z tylnego siedzenia obserwuję, jak białe płatki uderzają w okno i powoli topnieją zmieniając się w krople spływające po szkle.

Po dotarciu do kwiaciarni Marguerite Gardens wchodzę do rustykalnego wnętrza. Ściany z cegły, wytarte drewniane podłogi, ekstrawaganckie kompozycje kwiatowe porostawiane na prostych, wiejskich stołach, i *on*. Stoi tam w ciemnografitowych spodniach i jasnoniebieskiej koszuli,

a kiedy podchodzę bliżej, odwraca się od kobiety, z którą właśnie rozmawia i posyła mi uśmiech.

– Co ty tu robisz? – pytam poirytowana.

– O, dotarłaś – stwierdza cicho, jakby z rozdrażnieniem, po czym ujmuje moją dłoń i składa na niej krótki pocałunek.

– Nie wiedziałam, że też tutaj będziesz.

– Obiecałem twojemu mężowi, że będę wszystkiego doglądał i zadbam, żebyś dostała dokładnie to, czego sobie życzysz. No więc jestem – oznajmia, po czym zniża głos – upewniając się, że właśnie to dostaniesz.

– Dlaczego to robisz?

– Co masz na myśli?

– *To* – odpowiadam. – Mam na myśl ten prostacki flirt.

– Czy to cię krępuje?

– O to ci chodzi? Żebym czuła się skrupowana?

Kompletnie ignorując pytanie, odwraca się i woła:

– Betty, pokaż nam, co macie.

Kobieta, z którą rozmawiał, kiedy weszłam, siedzi teraz za jednym ze stołów.

Declan odsuwa dla mnie krzesło, a kiedy siadam, Betty wita mnie i mówi:

– Powiedziano mi, że planujemy przyjęcie sylwestrowe. Wie pani już, czego pani szuka?

– Sądzę, że będziemy się trzymać konwencji maskarady. Skłaniałbym się ku odcieniom bieli i ciemnej pomarańczy.

Betty i ja przeglądamy kilka katalogów, robiąc notatki na temat kwiatów i stylów aranżacji, a tymczasem Declan siedzi w milczeniu obok mnie. Nim spotkanie dobiega końca, decydujemy się na rozmaite kompozycje z rdzawo-pomarańczowych dalii, miętowych i żółtych róż, hortensji, jaskrów i aspidistrów.

Kiedy Betty przeprasza i zostawia nas samych, wyjmuję telefon, żeby wezwać samochód, ale zanim zaczynam pisać SMS-a, Declan wyrywa mi komórkę z dłoni.

– Umieram z głodu – mówi.

– Dobrze wiedzieć – prychem ze złością i próbuję chwycić telefon, ale on odsuwa go tak, że bym nie mogła dosięgnąć. – Oddaj mi komórkę.

– Zjedz ze mną lunch.

– Nie, dziękuję – odpowiadam z kpiącą uprzejmością.

Wstając, bierze mnie za rękę i podnosi z krzesła.

– To nie była prośba.

Mówi urywanymi słowami, niemal ze złością, więc nie protestuję, kiedy bierze mój płaszcz i pomaga mi go założyć. Nie wiem, co myśleć o tej zmianie. Zwykle zachowuje się beztrosko i zalotnie, ale dzisiaj jest milczący i surowy.

Czując ukłucia lodowatego wiatru na policzkach wychodzę z Declanem i podążam za nim do czarnego sportowego Mercedesa. Oczywiście, że ktoś taki jak *on* jeździ luksusowym autem. Pasuje do jego tajemniczego, seksownego stylu bycia. Wślizguję się na chłodne, skórzane siedzenie, patrząc jak Declan obchodzi samochód od przodu, otwiera drzwi kierowcy i wsiada.

– Dokąd jedziemy? – pytam.

– Nie powiem – stwierdza, wyjeżdżając z parkingu. Z jego mowy ciała nie da się nic wyczytać.

– Dlaczego?

– Bo za bardzo się wyklócasz.

Mówi to takim tonem, jakby beształ małe dziecko, i korci mnie, żeby mu się sprzeciwić, tylko po to, żeby go wkurzyć. Zamiast tego jednak postanawiam grać w jego grę. Będę współpracować, tak jak sobie tego życzy.

Pora zacząć badać grunt.

Jedziemy przez chwilę w milczeniu, po czym ku mojemu zaskoczeniu skręcamy na parking przy Over Easy Café. Declan zatrzymuje auto, a ja nie jestem w stanie powstrzymać uśmiechu na myśl, jak bardzo luksusowy samochód kontrastuje ze skromną restauracją.

– Coś w tym śmiesznego? – pyta, gasząc silnik.

Rzucam mu ostre spojrzenie.

– Twój nastrój naprawdę zaczyna mi działać na nerwy. Nie wiem, dlaczego jesteś taki wkurzony, ale może daj sobie na wstrzymanie. – Wysiadam z samochodu i ruszam w stronę budynku. Kiedy oglądam się do tyłu, widzę, że Declan stoi, uśmiechając się niemal z dumą. *Co do cholery?* Nie mogę rozgryźć, czego ten facet chce – tupetu czy posłuszeństwa.

W restauracji panuje żywa atmosfera; pomocnicy kelnerów sprzątają ze stolików, a goście rozmawiają podniesionymi głosami. Szybko dostajemy zamówioną kawę, a kiedy sięgam po menu, Declan wreszcie się odzywa.

– Pomyślałem, że zabiorę cię do jakiegoś skromniejszego lokalu, bo pewnie dawno już nie jadłaś w takim miejscu. Nie martw się; jedzenie będzie ci smakować. Zamów naleśniki z musli z jagodami.

Kiedy to mówi, jego spojrzenie jest łagodne, podobnie jak głos, więc pytam:

– Dlaczego nagle zrobiłeś się taki miły?

– Daję sobie na wstrzymanie. Korzystaj, póki możesz, bo nie jestem facetem, który chętnie słucha rozkazów.

Teraz czytam w nim jak w otwartej księdze.

Z uśmiechem oferuję mu szczyptę posłuszeństwa, mówiąc:

– W takim razie wezmę te naleśniki.

Kelnerka podchodzi do stolika, żeby przyjąć od nas zamówienie i pofantazjować o ujeżdżaniu penisa Declana, po czym odchodzi, chichocząc.

– Często ci się to zdarza? – pytam. – No wiesz, okazja do nakarmienia ego widokiem kobiet rumieniących się w twojej obecności.

– Zawsze wszystko tak rozkładasz na czynniki pierwsze?

– Zawsze tak wymijająco odpowiadasz?

Opiera łokcie na stole.

– Nie częściej niż ty.

– Zauważyłeś, że kiedy tylko nie rozmawiamy o interesach, zaczynamy gadać w kółko to samo jak zdarta płyta?

– No dobrze. Żadnych zdartych płyt. Zadaj mi pytanie – zachęca, po czym pociąga łyk kawy i czeka. Widzę zaciekawienie w jego oczach; szmaragdowych, obramowanych ciemnymi rzęsami. Nie mogę winić kelnerki za jej reakcję. Ciekawe, ile kobiet po spotkaniu z nim wraca do domu, żeby zrobić sobie dobrze palcami albo wibratorem, zanim ich żałośni mężowie wrócą z pracy.

Oczyszczam myśli z tych wizji i zadaję najbardziej niewinne pytanie, jakie przychodzi mi do głowy, mimo że znam już odpowiedź.

– Skąd jesteś?

– To jest twoje pytanie? – Zaczyna się śmiać, ale pod moim ostrym spojrzeniem uspokaja się i odpowiada. – Z Edynburga.

– W Szkocji?

– A znasz jakiś inny?

*Mądrala.*

– Myślałam, że dajesz sobie na wstrzymanie i starasz się być miły. – Odchyłam się na oparcie, sięgając po kubek z kawą.

– Tak mi się wymknęło. Moja kolej. Od jak dawna jesteś mężatką?

– Trochę ponad trzy lata.

– A od jak dawna jesteście razem?

– Cztery lata. To były dwa pytania – delikatnie mu wypominam.

– Nienajlepiej mi idzie przestrzeganie reguł – mówi i kontynuuje zanim zdążę się odezwać. – Szybko wylądowaliście przed ołtarzem.

– Cóż mogę powiedzieć? Kiedy Bennett czegoś chce, bierze to nie marnując czasu.

Kiedy wraca nasza kelnerka, obserwuję, jak nerwowo patrzy Declanowi w oczy, podając jedzenie. Śmieję się rozbawiona, na co on potrząsa głową.

– Widzisz, co mam na myśli? – pytam po odejściu kelnerki.

– Przeszkadza ci to?

– Dlaczego miałyby mi to przeszkadzać? – Chwytam widelec, żeby ukroić sobie kawałek naleśnika.

– To po co w ogóle o tym wspominasz?

– Zdarta płyta, Declan. Znowu to robimy. – Biorę kęs naleśnika, pod bacznym spojrzeniem mojego towarzysza.

– Dobra, żadnych płyt. Masz dzieci?

– Nie.

– A chciałabyś mieć?

– Nie mogę mieć dzieci, więc to, czego bym chciała, jest bez znaczenia.

Milknie na moment, zaskoczony moją odpowiedzią, po czym pyta:

– Dlaczego nie możesz mieć dzieci?

– To nie twoja sprawa – odpowiadam, pociągając kolejny łyk kawy.

– Kochasz go?

Głośno przelżykając napój, upewniam się:

– Swojego męża?

– Tak.

Bierze kęs jajek, a ja prostuję się i spoglądam mu w oczy.

– Obraża mnie twoje przypuszczenie, że mogłaby istnieć więcej niż jedna odpowiedź na to pytanie.

Zauważam, że kąciki jego ust wyginają się lekko ku górze. Przez moment podtrzymuje spojrzenie, zanim znów się odzywa.

– Zabawne, że zrobiłaś unik, zamiast odpowiedzieć.

– Oczywiście, że go kocham.

*Kłamstwo.*

– Więc to on jest tym jedynym?

Okazuję wahanie, tak, żeby nie uszło to jego uwadze, a potem odpowiadam po prostu „Tak”, starając się, żeby głos lekko mi zadrżał.

On wychwytuje moje subtelne sygnały. Nie spuszcza ze mnie wzroku. Poprawiam się na miejscu, udając dyskomfort, a kiedy Declan zmienia temat, jestem pewna, że to kupił. Resztę posiłku spędzamy, gawędząc od niechcenia o niczym, a kiedy opuszczamy restaurację i idziemy w stronę samochodu, nagle tracę równowagę na śliskim lodzie. Dłonie Declana chwytają mnie szybko, podczas gdy ja szamoczę się i ładuję oparta plecami o jego wóz. Jest blisko. Nasze piersi stykają się, a każdy oddech zmienia się w obłoczek pary. Nic nie mówię ani nie zmieniam pozycji. Zastanawiam się, czy wykona ruch, bo wiem, że chodzi mu to po głowie. Ale, aby zamienić myśli w czyn trzeba mieć jaja; mam nadzieję, że jemu ich nie brakuje.

– Odepchnij mnie, Nino – nalega cichym głosem, jakby mnie sprawdzał.



Ale to ja sprawdzam jego, choć on jeszcze o tym nie wie. Dlatego odpowiadam:

– Dlaczego?

– Bo kochasz swojego męża.

Napierając na niego rękami, odpycham go od siebie i mówię ze złością:

– Naprawdę go kocham.

Declan otwiera mi drzwi, jakby ta wymiana zdań w ogóle nie miała miejsca.

– Gdzie mieszkasz? – pyta, kiedy wyjeżdżamy na główną ulicę.

– Dlaczego pytasz?

– Bo zamierzam cię odwiedzić do domu – odpowiada, zwracając ku mnie głowę.

– W The Legacy.

Pomiędzy nami zapada niezręczne milczenie. Zastanawiam się, o czym myśli mój towarzysz, ale nie mam odwagi go o to zapytać. Declan włącza radio, odrywając mnie od tych rozmyślań. Skupia wzrok na drodze i nie mam wątpliwości, że muzyka ma mu pomóc oderwać się od obecnej sytuacji. Mnie nie jest dana chwila wytchnienia; wciąż zastanawiam się, jakie myśli przebiegają mu teraz przez głowę. Na to już jednak nie mam wpływu – nie zamierzam naciskać. Upadek musi nastąpić z jego własnej woli. Ja jestem tylko paliwem napędzającym jego pojazd; to on jest kierowcą, i od niego zależy cel podróży.

Kiedy podjeżdża pod The Legacy, zatrzymuje samochód i spogląda na mnie. Przez całą drogę nie powiedział ani słowa, a teraz w dalszym ciągu milczy. Pragnąc załagodzić jego ewentualne złe wrażenie, odchyłam się na siedzeniu i wzdygam, obracając głowę w jego stronę.

Declan wciąż trzyma dłonie na kierownicy. Nasze oczy spotykają się i mówię łagodnym głosem, pozbawionym jakichkolwiek podtekstów:

– Dobrze się z tobą bawiłam.

Kiwa głową, nieprzekonany, więc przymilam się dalej:

– Nie mam zbyt wielu przyjaciół.

Kiedy to mówię, powoli opuszcza ręce na kolana i odwraca się lekko w moją stronę.

– A tych dwieście osób z listy gości na twoje przyjęcie to kto?

– Gdyby nie Bennett, nawet by na mnie nie spojrzeli. Zresztą i tak bym tego nie chciała.

– Dlaczego nie?

– Bo nic mnie z nimi nie łączy.

– Jak to?

Nie odpowiadam od razu. Opuszczam wzrok, skupiając go na swoich dłoniach.

– Powiedz mi, Nino.

Odważam się spojrzeć na jego spojrzenie i potrząsam nieznacznie głową.

– Chyba sama jeszcze nie jestem pewna.

– A twój mąż?

– O niczym nie wie. Myśli, że sprawiają mi przyjemność wypadki na lunch z żonami wspólników, a tak naprawdę ich nie znoszę.

– To po co to robisz?

Oddycham głęboko.

– Bo chcę, żeby mój mąż był szczęśliwy.

Przysuwa się i pochyla nade mną, opierając ramię o deskę rozdzielczą.

– A co z tobą, Nino? Kto chce uszczęśliwić ciebie?

– Bennett mnie uszczęśliwia – oznajmiam. Jego oczy szukają w mojej twarzy oznak, że nie mówię szczerze, a ja upewniam się, że je znajdują. Na moment uciekam spojrzeniem w bok, intensywnie mrugając. Kiwam głową, jakbym próbowała przekonać samą siebie, po czym układam usta w nieznaczny uśmiech.

– Kłamczucha – mówi łagodnie, i wiem, że dał się nabrać. Nie zaprzeczam jego oskarżeniom, tylko spuszczam głowę i kieruję wzrok na przednią szybę, utwierdzając go w przekonaniu, że ma rację.

– Powinam już iść. – Rzucam mu spojrzenie, a on odpowiada skinieniem głowy. Otwieram drzwi i wysiadam z samochodu.

Kiedy zmierzam w stronę wejścia do lobby, słyszę, jak woła moje imię. Odwracam się i widzę, że opuścił szybę w oknie po stronie pasażera.

– Ja też dobrze się z tobą bawiłem – odpowiada mi słowami, które wcześniej użyłam.

Nagradzam go uśmiechem, po czym odchodzę.

Zaraz po wejściu do domu rzucam torebkę oraz płaszcz na stół w jadalni i dzwonię poinformować Baldwina, że Declan odwiózł mnie do domu i nie będę już tego wieczoru potrzebować jego usług. Następnie zaglądam do kuchni. W lodówce znajduję świeże owoce, których jeszcze rano nie było, co oznacza, że Clara zdążyła już przyjść i wyjść.

Wiem, że nikt więcej nie przyjdzie, toteż nie tracąc czasu zakładam płaszcz z powrotem i chwytam kluczyki od jednego z samochodów, po czym zabieram torebkę i wychodzę.

Po wyjeździe z garażu kieruję się na autostradę I-55, a potem na południe. Jadę do jedynej osoby, na którą zawsze mogłam liczyć. Minęło kilka tygodni odkąd ostatni

raz widziałam Pike'a i tęsknię za nim. Dopuszczam do siebie podeksycytowanie na myśl, że wreszcie się z nim zobaczę – z najlepszym przyjacielem, jakiego miałam, odkąd skończyłam osiem lat.

Zjeżdżam z drogi międzystanowej do miasteczka Justice, po czym skręcam w 79-tą ulicę i kieruję się na parking dla przyczep kempingowych. Parkuję auto przed jednym z domów na kółkach i wyciągam z torebki klucz ukryty w opakowaniu po szmince. Okna kołatają się od basów bijących z czyjś samochodowego radia. Kiedy otwieram drzwi i wchodzę do wnętrza, rozluźniam ramiona, wzdycham i wpadam prosto w objęcia Pike'a. Przytula mnie, a ja chłonę ciepło, poczucie otuchy i wszystko inne, co tylko on może mi dać.

– Tęskniłam – szepczę, oplatając go ciasno ramionami.

– To już prawie trzy tygodnie – odsuwa się, żeby na mnie spojrzeć, a wtedy widzę, że nie jest zadowolony. – Gdzie ty się do cholery podziewałaś, Elizabeth?